



Rozdział I

Budzę się z tym szczególnym poczuciem tęsknoty za czymś, czego nie mogę określić. Gdzieś w głębi klatki piersiowej wręcz fizycznie czuję wtedy dziurę. Dopada mnie pewność, że musi być coś więcej. To uczucie jest zapewne skutkiem snu, który powraca do mnie od dziecka. Czym jest ta mara? Wspomnieniem? Okrutnym żartem mojego umysłu? Nie wiem, ale nie czas teraz na tego typu rozważania.

Dziś pierwszy dzień w mojej pierwszej i zapewne ostatniej pracy. Czuję stres i coś jeszcze – chyba panikę. Byłam do tego przygotowywana przez kilka lat. Ta posada to sens mojego życia. Istnieję po to, żeby pracować w ojczyściej korporacji. Na podstawie predyspozycji i wyników w nauce wybrano dla mnie funkcję junior account executive. Podobno nadaję się do tej pracy, ponieważ potrafię obserwować, wyciągać wnioski i rozmawiać z ludźmi. Ja natomiast czuję, że po prostu umiem im powiedzieć to, co chcą usłyszeć. Takie stanowisko to dużo jak na początek. Niektórzy nie mają łatwego startu. Najczęściej zaczynają od najniższych stanowisk. Ciężko pracują fizycznie i powoli pną się po szczeblach kariery. Ja jestem dzieckiem szczęścia, wychowanym w korporacyjnym sierocińcu. Moi rodzice zginęli w czasie trzeciej wojny

światowej, która rozpętała się na tle konfliktów religijnych. Już pod koniec dwudziestego wieku ludzie podejrzewali, że może do tego dojść. Na początku dwudziestego pierwszego stulecia zaczęły się wielkie migracje ludności – z terenów biednych i zagrożonych wojnami – do Europy. Ludzie ci przynosili ze sobą nie tylko sposób życia i wartości, ale przede wszystkim religię. Tym samym spotkały się ze sobą skrajnie odmienne kultury, które nawet nie próbowały się nawzajem zrozumieć. Europejczycy zaczęli się radykalizować w swoich poglądach i swojej religii, aż doszło do wybuchu wielkiego konfliktu zbrojnego. Była to najgorsza z wojen – i mam nadzieję, że też ostatnia. Zakończyła się tylko dzięki interwencji Wielkiej Koalicji Korporacji. Największe korporacje świata połączyły się w konglomeraty, przywróciły porządek na świecie, posprzątały powojenny bałagan, zakazały kultywowania jakiejkolwiek religii i zajęły się sierotami. Takimi jak ja.

Energicznie wstaję z łóżka. Ogarniam się w łazience i wkładam uniform, który przygotowałam dzień wcześniej – granatowe spodnie i białą koszulę. Wszyscy w dziale sprzedaży i reklamy noszą się w takich kolorach, ponieważ kojarzą się one z prawdą, ze stabilnością, z zaufaniem, czystością, precyzją i dobrocią. Moje długie, mocno pofalowane włosy rozczesuję i spinam w schludny kok. To regulaminowa fryzura każdej kobiety pracującej dla Brainhill. Patrzę na siebie w lustrze i jestem zadowolona z ogólnego efektu. Wyglądam na pewną siebie, silną młodą kobietę, która wie, czego chce. Mój humor psuje tylko trochę zbyt duży nos. Szkoda, że nie mogę rozpuścić włosów, wyglądałabym wtedy...

– Szkoda, że nie możesz rozpuścić włosów. Wyglądałabyś wtedy dużo lepiej. – Moja współlokatorka i zarazem najlepsza przyjaciółka, Klara, właśnie się obudziła i weszła do wspólnego salonu. Nawet o poranku wygląda bardzo ładnie. Ma śniadą karnację, długie, czarne włosy, mały, zgrabny nosek i śliczne, czarne oczy.

– Hej! Nie idę na randkę, tylko do pracy – odpowiadam.

Klara podchodzi do mnie i poprawia kołnierzyk mojej koszuli.

– A gdzie chcesz poznać potencjalnego partnera na randkę, jeśli nie w pracy? Przecież nie bywasz w klubach, wieczorami właściwie nie wychodzisz z domu.

– Ej! Czasem chodzę do teatrów, galerii...

– Tak! A kiedy wracasz, narzekasz i krytykujesz. – Klara robi krok w tył i ogląda mnie z każdej strony.

– Bo ta współczesna sztuka jest jakaś taka bez polotu i czegoś, bo ja wiem... – Mówiąc to, spoglądam w lustro na odbicie Klary, która stoi za mną i bezczelnie mnie przedrzeźnia. – Odwal się. Zajmij się swoimi poszukiwaniami idealnego mężczyzny – odparowuję.

– Nie złość się, kochanie. Po prostu zależy mi na twoim szczęściu – mówi Klara, robiąc słodką minę, którą chce mnie udobruchać.

No tak, dla Klary synonimem szczęścia jest posiadanie faceta. Uważa, że status kobiety wzrasta dopiero, kiedy przy jej boku można zobaczyć przystojnego i wysoko postawionego „rasowego mężczyznę”. Niestety, w jej przypadku nauki naszej korporacji nie podziałały. Ona nie wierzy, że sama może osiągnąć sukces. Wierzy w mężczyznę, który osiągnie go za nią.

Tych myśli nigdy nie wypowiedziałabym na głos. Zaszкодziłoby to nam obu – mnie użycie słowa „wiara” (jest ono bezwzględnie zakazane, chyba że odnosi się do ojczystej korporacji), a Klarze to, że uzależnia swoje szczęście od drugiego człowieka (według nowych nauk może je dać tylko firma, dla której pracujesz).

– Nie złoścę się – odpowiadam już spokojniej – jestem po prostu podenerwowana. A poza tym muszę już lecieć. Nie mogę się spóźnić w pierwszym dniu pracy.

– Przecież przez ostatnie pół roku miałaś tam praktyki i codziennie wychodziłaś o tej porze. Spokojna, zrelaksowana, bez stresu.

– Bez przesady! Ja? Zrelaksowana? – Zakładam mój ulubiony, czarny plecak i wychodzę, wołając: – Pa, Klara!

– Dobrze, że masz jeszcze trochę dystansu do siebie! – śmieje się. – Powodzenia, Nika!

Patrzę na nią surowo i wybiegam z mieszkania. Po raz kolejny użyła zakazanego słowa. Dobrze wie, że wszystko, co związane z zabobonami, religią, magią i wiarą pod każdą postacią jest nielegalne. Życzenie komuś powodzenia też. Za złamanie korporacyjnego prawa grozi ciężkie więzienie, a nawet śmierć. Ona nigdy się nie nauczy, jest niepoprawna. Dlatego tak bardzo ją kocham. Zresztą znamy się od dziecka i mamy tylko siebie.

Wychodzę z naszego betonowo-szklanego bloku i żwawym krokiem zmierzam do miejsca mojej pracy. Na szczęście mieszkamy bardzo blisko. Dzieci wychowane przez korporacyjnych ojców i matki mają przywilej życia w bliskości z sercem i mózgiem całego miasta – oddziałem konglomeratu. To właśnie ta dzielnica jest najnowocześniejsza. Prawie nie widać tu już starych budynków ani powojennych ruin. Zastąpiły je idealnie wymierzone, mniejsze i większe prostopadłości z metalu, betonu i ze szkła. Został tylko jeden świadek minionego stylu architektonicznego i zawieruchy wojennej zarazem. Stoi wciśnięty między dwoma wieżowcami należącymi do sieci sklepów B, które z kolei są własnością Brainhill – naszej korporacji. Odpada z niego żółty tynk, spod którego wyglądają cegły. Cóż za piękny budulec! Teraz już nieużywany. Cegły są rozsadzane przez rośliny, wdzierające się w każdą szczelinę. Z okna na drugim piętrze wychyla się gałąź. Kiedy przechodzę tędy o zmroku, wyobrażam sobie, że to ja wyglądam z tego okna, wypatrując mamy wracającej z pracy lub po prostu obserwując życie na ulicy. Poza tym jednym elementem – nic. Morze zimnego, czystego, industrialnego krajobrazu w ciągłej przebudowie. Teraz na przykład powstaje podniebna kolej. Budowniczcy kładą kilometry torów na betonowych filarach. Dźwięki budowy spotykają się z hałasem ruchu ulicznego, tworząc kakofoniczny duet. Idąc

dalej, mijam jak zwykle te same witryny ogromnych sklepów wielobranżowych. Krzyczą do mnie reklamy gabinetów odnowy biologicznej korzystających z najnowszej technologii, aby odmłodzić każdego, kogo na to stać. Atakują mnie fryzury, jakie można sobie ułożyć w salonie dysponującym wielofunkcyjnymi maszynami do włosów. Panie z plakatów na witrynach uśmiechają się wielkimi, fioletowo-różowymi ustami. Na głowach mają stożkowate budowle stworzone z włosów. Niemal każdy centymetr kwadratowy miasta jest pokryty najróżniejszymi reklamami. Mniejszymi i większymi, świecącymi, ruchomymi, gładkimi i chropowatymi. Te najmniejsze, kilkucentymetrowe, zostały nalepione na słupy i znaki drogowe. Firmy prześcigają się w formach i ekspresji. Mają trudne zadanie wyróżnienia się w gąszczu znaków. Im bardziej szokująca reklama, tym lepiej. Właśnie mijam ciąg plakatów nagabujących do zakupu superlekkiego pasztetu z kurcząt. Reklamują go kury upozowane na matki, które spacerując z dziećcykami wózkami, zjadają się owym pasztecikiem. Gdybym nie była przyzwyczajona do tych wszystkich widoków, pewnie dostałabym oczopląsu. Znacznie bardziej lubię przebywać na przedmieściach. Nie zdążyło tam jeszcze wyrosnąć tyle sterylnych, kanciastych olbrzymów. Można się za to natknąć na rozpadające się architektoniczne perełki. Na niektórych starych kamienicach widać resztki rzeźbień, zdobnych gzymsów, pięknych drewnianych okien i drzwi. Niestety, zabytki te albo popadają w ruinę, albo są wyburzane. Umierają wraz z poprzednim światem i jego porządkiem. Rozumiem, że to cena, jaką płacimy za pokój. To poświęcenie jest konieczne, a jednak żal mi świata, którego już nigdy nie poznam.

Powinnam cieszyć się z przypisanego mi stanowiska. Właściwie do tej pory byłam zadowolona z kierunku, w jakim toczyła się moja kariera. Pół roku temu dostałam przydział na praktyki. Z radością wchodziłam w uprzywilejowany korpoświat. Nie wierzyłam, że stanę się częścią teamu. To było jak spełnienie marzeń. Czekał mnie

bezpieczny byt. Kiedy pomyślę, jak żyli ludzie przed wojną i w jej trakcie, jestem wdzięczna Koalicji, że obdarowała nas pokojem. Wszystko jest lepsze od strachu i niepewności.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy w ostatniej klasie staliśmy wszyscy w szeregu, ubrani w galowe żółte stroje, czekając na alokację. W żargonie szkolnym nazywaliśmy to „ogłoszeniem wyroku” dotyczącego naszego przeznaczenia. Każdy z nas czekał na wyniki ze ściśniętym sercem. Ten moment kończył naszą edukację, którą przez kilka lat zajmowała się wyselekcjonowana kadra. Nauczyciele cieszyli się pełnym zaufaniem Koalicji, ale decyzje o przydziale stanowisk podejmowali w uzgodnieniu z kierownictwem oddziału korporacyjnego. Wiedzieliśmy, że nasze nowe funkcje będą adekwatne do umiejętności. Koalicja pierwszorzędnie edukuje obywateli, ponieważ sama przyznaje na ten cel fundusze. Dobrze o tym wiemy i nigdy nie zapominamy. By okazać wdzięczność, podporządkowujemy się jej woli. Stanowiska, które otrzymujemy, zawsze nas satysfakcjonują. Oczywiście mamy prawo do awansu i – w niektórych przypadkach – do zmiany stanowiska. W porównaniu z biedakami mieszkającymi poza miastem nasze życie jest rajem. Raczej nikt z nas nie marzy o zmianie statusu i przeprowadzce na wieś. Znałam tylko jedną osobę, która się na to odważyła. Ten człowiek chodził do mojej szkoły. Był o dwa lata starszy. W ostatniej klasie oświadczył, że chce zostać rolnikiem. Wywołał tym burzę. W całej szkole nie mówiło się o niczym innym. To była plotka miesiąca! Co dzień docierały do nas nowe rewelacje o przyczynach tak dziwnej decyzji. Chyba każdy w szkole znał imię tego chłopaka. Marek podobno nie był zbyt pojętym uczniem. Nie wróżono mu błyskotliwej kariery w korporacji. Niektórzy właśnie w tym dopatrywali się powodu jego decyzji. Inni twierdzili, że Marek ma poza miastem rodzinę. O uszy obila mi się nawet plotka o jego rzekomym sympatyzowaniu z wywrotowcami. Myślę, że prawda leżała

gdzieś pośrodku. Obserwując Marka, zauważyłam, że nie potrafi się dostosować. Zamyślony, nieobecny, żył w swoim świecie i tego nie ukrywał. Typowy outsider, którego było mi żal. Czasem nawet nim gardziłam. Zastanawiałam się, co jest warte rezygnacji z daru życia w Dobrej Przyszłości. Good Future – tak Koalicja nazwała swój program naprawczy świata. Uważałam Marka za zwykłego słabeusza, który nawet nie próbuje ukryć własnych pragnień. Ja w przeciwnieństwie do niego potrafiłam się poświęcić.

Jest jeszcze jedna przyczyna, dla której mało kto decyduje się na zmianę statusu. Zaczynając edukację, już jako dzieci podpisujemy klauzulę przynależności. Dopóki nie spłacimy długu wobec Koalicji, nie możemy decydować sami o sobie. Chyba że oddamy z procentem całą kwotę, jaką w nas zainwestowano. W przypadku dzieci wychowanych w sierocińcach dochodzą jeszcze koszty ich utrzymania. W rezultacie nieszczęsny Marek po tym, jak zmienił swój status, będzie musiał do końca życia pracować za darmo i oddawać większość swoich rolniczych plonów. Czyli z całą pewnością czeka go ubogi żywot. W przeciwnieństwie do nas – tych, którzy postanowili wypełnić swą powinność.

My pokornie czekaliśmy na wyrok. Spodziewałam się, że moim przydziałem będzie junior account executive, kiedy jednak zostało to publicznie ogłoszone, poczułam dumę. Stałam się pełnoprawną, wartościową obywatelką korpoświata. Choć już od dwóch lat byłam pełnoletnia, dopiero w tym momencie poczułam się osobą dorosłą. Nareszcie miałam zarabiać na swoje utrzymanie i należeć do uprzywilejowanego grona korporacjuszy. Oprócz pensji zaczęłam regularnie otrzymywać cały pakiet medykamentów oraz kartę Multirelax, w ramach której należy mi się jeden zabieg upiększający na miesiąc oraz korzystanie z wszelkich możliwych rozrywek w miesiącu. Klara bardzo zazdrości mi tej karty. Od trzech lat pracuje jako pani kanapka i ciągle nie może wskoczyć na wyższy level. Czasem

zastanawiam się jednak, czy faktycznie nie może, czy nie chce. Moja przyjaciółka zakończyła edukację na drugim etapie, w wieku osiemnastu lat. Została zaliczona do tych kiepsko rokujących. Oni wcześniej dostają alokację, najczęściej na niskie stanowisko. Mogą, a nawet powinni starać się o awans. Pomagają w tym liczne kursy doskonalące. Klara na kilka z nich uczęszczała, ale szybko rezygnowała, twierdząc, że to strata czasu. Znacznie bardziej interesuje się rozrywkami. Często pożyczam jej moją kartę. Co prawda, jest ona ważna tylko z okazanym dokumentem tożsamości, ale Klara potrafi wszystkich owinąć sobie wokół palca. Nikt nie odważyłby się podważać wiarygodności tej gwiazdy.

Choć z wielu korporacyjnych przywilejów nie korzystam, to jestem zadowolona z ich posiadania. Poza tym praca daje mi dużą satysfakcję. To uczucie, gdy wchodzę do budynku Brainhill, a wraz ze mną tysiące ludzi takich samych jak ja, sprawia, że wzrastam i jestem silniejsza. Jesteśmy wspólnotą, należymy do elitarnego grona. Może nie mam w swoim dziale zbyt wielu znajomych, bo tylko dwoje, ale wcale mnie to nie zniechęca. Ukrywam wszystkie swoje niedociągnięcia, udaję, że łykam tabletki i całą korpokulturę. Dla wymarzonej pracy i dla – nomen omen – dobrej przyszłości warto udawać. Zdarza się nawet, że chodzę do kina czy teatru. W tych miejscach, w których kiedyś ludzie podobno siedzieli w skupieniu i oddawali się kontemplowaniu sztuki, teraz zwykle panuje gwar. Dużo osób konsumuje posiłki albo po prostu rozmawia. Nikt nie ma prawa ich upomnieć, ponieważ takie zachowanie jest dozwolone. Między innymi dlatego rozrywka kulturalna nie jest moim hobby. Staram się nie afiszować z tą niechęcią. Zawsze jestem poprawna i nie rzucam się w oczy. Przełożona, choć bywa w stosunku do mnie chłodna, daje mi do zrozumienia, że jestem dla niej ważnym pracownikiem. Już samo to powinno mi wystarczać. Moja przyszłość zapowiada się całkiem nieźle. Wszystko wskazuje na to, że prześlę swoje życie łagodnym snem.

Powinnam być wdzięczna, ale coś sprawia, że smutek, który siedział gdzieś głęboko we mnie, w ostatnim czasie się uzewnętrzniał. Niedawno zdarzyło się coś, co wybudziło mnie ze spokojnego snu i kazało spojrzeć na świat w inny sposób. Od tamtej chwili próbuję wyrzucić z siebie nostalgię. Nienawidzę siebie za to, że jestem teraz zupełnie jak Marek, którym gardziłam. Każdego dnia staram się uzbroić, aby zwalczyć smutek, który potrafi zaatakować znienacka.

Właśnie w tym momencie przeszył mnie do głębi. Dlaczego teraz? Dlaczego w tak słonecznym dniu? Może właśnie dlatego, że ten dzień jest tak pierwotnie optymistyczny, pełen jasnych promieni słońca, których nie ma we mnie? Jestem sztywna i pusta jak maszyna. Przy najmniej na taką pozuję. Udam, bo tak trzeba. Dzielnie idę do pracy. Wchodzę na dziedziniec naszej filii. To miejsce, czyste i zadbane, uchodzi za najładniejsze w miasteczku. Betonowy plac jest poprzecinyany pasami, kołami i kwadratami zieleni, z których wyrastają drzewa. Staję przed budynkiem. Trzydzieści pięter ze szkła i stali robi wrażenie. Uświadamiam sobie, że będę tu pracowała najprawdopodobniej przez resztę mojego życia. Do oczu nieproszenie napływają mi łzy.

W tym momencie dostrzegam, że przygląda mi się jakiś mężczyzna. Stoi przy głównych drzwiach. Wpatruje się we mnie intensywnie. Wtrąca się w moje tête-à-tête ze smutkiem, kiedy pozwoliłam emocjom, aby wychyliły się z najgłębszych zakamarków nieszczęśliwej Weroniki. Chociaż to irracjonalne, mam wrażenie, że dokładnie wie, co teraz myślę i czuję. Kim on jest? Dlaczego tak mnie przeświecła? Na pewno pracuje w naszym oddziale, ale jeszcze nigdy go tu nie widziałam. Myślę, że bym go zapamiętała. Twarz ma surową, kanciastą. Wygląda na człowieka nieugiętego, z zasadami. Pewnie by mnie przestraszył, gdyby nie jego oczy. Łagodne, mocno niebieskie. W takich oczach można utonąć, zwłaszcza że wyglądają jak głęboko osadzone górskie jeziora. Patrzymy chwilę na siebie, po czym on robi obojętną minę, odwraca się i wchodzi do budynku.

Co to miało być? Dlaczego to spotkanie było tak intensywne, choć nic się nie zdarzyło? Dlaczego właśnie dzisiaj rozprasza mnie taka sytuacja? W dniu, w którym powinnam być spokojna i skupiona. Co za bezczelny typ. Impertynent, podglądacz, zagapiacz jeden! Powinnam się uspokoić, wyrównać oddech i myśleć o pracy. Po chwili mi się to udaje. Prawie zapominam o dziwnym incydencie i wchodzę na stopnie, które prowadzą do tych samych drzwi, za którymi wcześniej zniknął nieznajomy.

Mój dział – dział marketingu – znajduje się na trzynastym piętrze. Wsiadam z windy i idę do sali ceremonialnej mieszczącej się w przeszklonym pokoju na środku wielkiej przestrzeni, którą zajmują korporacjusze. Setki stanowisk komputerowych odgrodzone są od siebie ściankami działowymi. Teraz stanowiska są puste, ponieważ wszyscy zgromadzili się w szklanym pokoju. Czekają na ceremonię rozpoczynającą dzień. Wtapiam się w tłum. Wokół słyszeć szepty. Jedni plotkują, inni rozmawiają o pracy. Ja szukam mojej znajomej – Moniki. Chętnie bym z nią popaplała o głupotkach dnia codziennego. Monika jest typem optymistki, dla której świat jest wesołym miasteczkiem pełnym niespodzianek, adrenaliny i różowej waty cukrowej. Potrzebuję dzisiaj jej słodkiego nastawienia otepiającego świadomość. I właśnie teraz w morzu głów odnajduję krągłą, krótko ostrzyżoną szatynkę, której szukałam. Niestety, w tym momencie do sali wchodzi nasza sales manager. Staje na środku, na podwyższeniu, i czeka, aż wszystkie głosy ucichną. Ma na sobie niebieską, długą szatę z wyszytą złotą nicią literą B – logo naszego kombinatu. Po chwili skupienia unosi ręce i rozpoczyna pieśń, do której dołącza się cała sala:

*Niech siła naszych umysłów przewycięży słabe ciała,
Niech omiecie nas ze strachu pierwotnego,*

*Wyzwoli z jarzma uczuć i kompleksów,
Otworzy wszystkie wrota, zaprowadzi do krainy zysków.*

Powtarzamy tę pieśń trzy razy. Nie jestem muzyczką, nie jestem znawczynią, ale jak na moje ucho ani słowa tej pieśni, ani melodia, a już na pewno głos naszej kierowniczkii Amelii nie są najwyższych lotów.

Teraz przyszedł czas na główny hymn Wielkiej Koalicji Korporacji, w skrócie WKK. Gdyby chociaż Amelia potrafiła śpiewać! No tak, ale gdzie miała się tego nauczyć? W szkołach nie ma przedmiotu „muzyka”. Nikt nie ćwiczy naszego słuchu. Owszem, muzyka jako taka istnieje, tworzą ją ludzie po zawodowych szkołach artystycznych. Artyści wykształceni przez te instytucje są ograniczeni. Pozwala im się tworzyć „dzieła” tylko w jednym celu – ku uciechu publiki nieznającej się na sztuce.

Ojej! Co mnie dzisiaj napadło? Dlaczego tak krytykuję i analizuję? Przez to tylko pograżam się w przygnębieniu. Muszę się uspokoić i spojrzeć na wszystko z dystansu. Głowa do góry i zaczynam śpiewać. Raz, dwa, trzy:

*Myśl chłodno pod sztandarem Coldcorp,
Umysł twą siłą to dewiza Brainhill,
Generuj zyski dla swego konglomeratu, jak robią to w Profitcorp,
Pracuj i żyj szybko, bierz przykład z Fastwork,
Czerp przyjemność z życia, bądź jak każdy pracownik Nihcorp,
Codziennie buduj nowy porządek z Good Future,
Szanuj pracowników wszystkich konglomeratów, poczuć się
jak w Teamcorp.*

Ta pieśń jest zbiorem przykazań, według których należy żyć. Każdy z konglomeratów dostał nazwę odpowiadającą jednemu z nich.

Są one jak motta dla siedmiu największych i jedynych istniejących na świecie firm. Pomyśleć tylko, że przed chwilą ten hymn odśpiewano w wielu miejscach na świecie. Ciekawe, czy te wszystkie głosy złączyły się w jakąś energię i faktycznie są siłą napędową dla naszego korpoświata? Myślałam o tym już wcześniej i dochodzę do wniosku, że właśnie po to zarządy kombinatów każą nam je powtarzać codziennie. Pieśni, których nie cierpię bardziej niż owsianki na mleku. A muszę ją jeść często. Nie mam zbyt dużego wyboru, będąc wegetarianką, która nie może się do tego przyznać, żyjąc w świecie fast foodów. Poza tym, gdyby ktoś z firmy, ktoś z mojego otoczenia dowiedział się, że nie jem mięsa z przyczyn ideologicznych, byłoby po mnie. Wszystkim mówię, że po prostu nie lubię tego smaku. Tylko Klara wie, dlaczego tak naprawdę nie jem zwierząt. Wybór pożywienia jest obecnie dość ubogi, zwłaszcza że żyjemy w mieście. Na śniadanie najczęściej jem więc płatki owsiane. Może dlatego jestem taka nieszczęśliwa? Dlatego, że wciąż chodzę głodna, a moje kubki smakowe są wiecznie nieusatysfakcjonowane? I może dlatego te proste pieśni tak działają mi na nerwy? Chyba na jutrzejsze śniadanie postaram się kupić jakieś warzywa. Nawet jeśli będę musiała na nie przeznaczyć dużą część mojej wypłaty.

Z rozważań wyrывa mnie firmowe hasło motywujące:

– Umysł naszą siłą! – wołam trochę za cicho.

No i na koniec okrzyk pochwalny dla korpoświata:

– Niech żyje Wielka Koalicja! – podejmuje menedżer Amelia.

A reszta pracowników odpowiada:

– Poddajemy się wiernie jej woli!

Wszyscy rozchodzą się do swoich stanowisk przy komputerach. Amelia wychodzi jako ostatnia. Jestem nowo zatrudnionym pracownikiem, dlatego zostaję w szklanym pudle, aby wysłuchać po raz kolejny regulaminu firmy oraz podpisać zgodę na jego przestrzeganie. Regulamin dotyczy prawie każdego aspektu życia.